Rozmaitości

DNIA 23. MAJA Ner 21. 1835 ROKU.

TROJE
WRÓŻEBNYCH NIEDZIEL.
Wyimek z papierów artysty.

(Ciąg dalszy.)

Nie wiém jak długo w tym zostawałem stanie, ale kiedym się przebudził, uczułem, że po moich potłuczonych, jedną tylko mokrą koszulą i lekkiémi pantalonami okrytych członkach, rozszedł się dreszcz bolesny. Strętwiały i na wskroś przeziębiony, podniosłem się z ziemi. Było jeszcze ciemno, ale już dnia nie daleko; szary brzask coraz się bardziéj wyciérał w bielsze rozświétanie, a gruba, siwa mgła pokrywała rzékę. Stałem chwilę usłupiały i bez wszelkiego przesięwzięcia, ale wnet mię obiegła trwoga niebezpieczeństwa: »Żegnam was, żegnam na zawsze, biédni towarzysze!« zawołałem ze łzami, i zrobiwszy krzyż święty, powlekłem się chylcem w głąb rozłożystych krzaków, które coraz daléj idąc, coraz się większą stawały gęstwiną, a przezto samo i bezpieczniejszém schronieniem dla mnie. Chciałem najprzód uwolnić się od kajdan, i z nie małą trudnością, wynalazłszy kilka kamieni, wziąłem się z pospiechem do pracy. Obrączka na lewéj nodze nie zadała mi trudu wiele, pękła niebawem pod ciosem kamienia; lecz na ręce prawéj, wytrzymała wszelkie, najsilniejsze uderzenia. O! cóżbym nie dał był za to — byłbym dał całe moje bogactwo... byłbym dał jedwabną chustkę, którą na szyi miałem — gdybym w téj chwili mógł był nabyć wprawy mańkuta! »Ah, czemuż się lewą ręką robić nie uczyłem!« zawołałem z boleścią. Abym téj nieszczęsnéj pozbył się obrączki, wytężałem wszystkie siły, dobiérałem wszystkich sposobów, ale daremnie; straciłem kilka godzin, i musiałem przestać. Tymczasem słońce wzejszło już wysoko, a z tamtéj strony rzéki odezwały się bębny, których odgłos dość długo dręczył moję duszę; nagle nastąpiła cisza. Z przytłumionym oddechem, z bijącém sercem, czekałem w trwodze na odgrom wystrzałów, które moich nieszczęśliwych towarzyszy na tamten świat przesłać miały; lecz prądy powietrza nie zaniosły ich do mnie. Nie długo trwało, a w marsz wesoły zatętniły bębny, którym rogi woltyżerów raźno zawtórzyły. »Już po was nieszczęśliwi, już po was!« zawołałem boleśnie, »jużeście na lepszym świecie. Boże! bądź im tam łaskaw, jakieś tu był łaskaw na mnie!« — Byłato niedziela rodzinna, niedziela wróżebna, pomyślałem sobie; takiéj nié miał ani mój dziad, ani mój ojciec. Bóg miłosierdny nie zechce, aby była moją niedzielą ostatnią! — wewnętrzne uczucie powiada mi, że ujdę rąk Francuzów, a zatém, należy mi radzić sobie, abym się z nimi nie zdybał.

Śnieżna zawiérucha, która około południa wirzyć zaczęła, i niebezpieczeństwo, w którém się znajdowałem, upomniały, że mi spiesznie i bez wszelkiéj zwłoki daléj iść trzeba; lecz dokąd? niepewność okropna! W jeografii i topografii nie miałem prawie żadnéj wiadomości. Nie wiedziałem nawet w jakim kraju jestem; jestemli na ziemi przyjacielskiéj, nieprzyjacielskiéj, lub neutralnéj; tyle tylko sobie przypomniałem, że Szwajcaryja na zachód leży, a przewidując, że w kraju wolności, i ja wolność znajdę; puściłem się w tę stronę, ile mi stanowisko słońca na zachmurzoném niebie, ku temu służyć mogło. Okolica, w któréj się znajdowałem, była bagnista, ciernistémi pokryta krzakami. Dnia tego, pomimo wszelkę usilność moję, nie uszedłem daleko.

O głodzie, gasząc śniegiem pragnienie, przespałem noc w parowie, nad który rozłożysta nadkrzywiła się sosna. Od zimna skośniały, zerwałem się jeszcze przed zaraniem, i szedłem w trwodze, na ślepy domysł tylko. W kilka godzin wyjrzało słońce; szedłem za niém jak pokorne dziécię. Po ciężkim i krwawym trudzie, wydostawszy się na pole, stanąłem u wody, i ujrzałem w niéj swoję postać. O Boże, jakże ona straszną była! Nie mówiąc już nic o rozczuchranych włosach, o długiéj brodzie, o mojéj bladéj, wychudłéj twarzy; ale mój nędzny, w kawałki poszarpany, i w gałganach tylko na mnie wiszący ubior — mój łańcuch, który bądź za sobą ciągnąłem, bądź, jak mi wypadło, około ramienia obwinąłem — to wszystko czyniło mię podobnym do wściekłego, albo z domu szalonych zbiegłego człowieka!

Nie śmiałem się pokazać ludzkiemu oku; szedłem zawsze manowcami, darłem się przez chaszcze, lub przebywałem trzęsawiska. Po lewéj i prawéj stronie widziałem czasem włościan chaty, których budowa inną miała postać, a niżeli z tamtéj strony rzéki. Często ujrzałem z daleka jaką człowieczą postać; alem się jéj lękał, jak śmiertelnego grzéchu! Jeszcze mój głód nie doszedł stopnia wściekłości, jeszczem się żywił nadzieją, i szedłem, albo raczéj wlókłem się na zachód. Pomimo wysilenie, odbyłem dnia tego duży kawał drogi. Ujrzałem inną okolicę, inaczéj ubranych ludzi; alem się lękał ku nim zbliżyć i zapytać, gdzie jestem; mógłżem przewidzieć, czy tém zapytaniem nie wydam na siebie śmierci wyroku! Noc drugą przepędziłem w jaskini, gdzie czysta zdrojowa woda, była moją wieczerzą, a sen marzeniem w gorączce.

Nazajutrz pokrzepił mię cokolwiek pogodny, świeży poranek. Szedłem, ile można było, już drugą dobę nic nie jadłszy. Siły moje zaczęły coraz bardziéj wątléć; musiałem często i długo odpoczywać, nimem naprzód kilka kroków uszedł. Przechodząc trzęsawicę, zgubiłem trzewik z nogi; a jedno ramię, u którego nieszczęsny łańcuch wisiał, tak mocno mi nabrzmiało, żem już zawładnąć niém nie zdołał. Coraz większą uczuwałem w członkach boleść, i coraz bardziéj na siłach upadałem. Jakaś przemożna trwoga zaczęła mię nagabywać, znużenie omdliło mię całego, a napastny sen chylił mi nieustannie głowę. Właśnie w tenczas, kiedym w skale ujrzał széroką rozpadlinę, i kiedym, chcąc na chwilę wypocząć, zaczął się w nią wsuwać, kłoniło się słońce do zachodu. Nie długo trwało, a dwa męzkie głosy z drugiéj strony bagna doleciały do mnie — dla zbiega, byłyto głosy śmierci! Wkrótce zbliżyły się dwie postacie, i stanęły nie daleko od miejsca, w którém przebywałem; bylito dwaj włościanie z dzikiémi i groźnémi twarzami, w lichéj odzieży, ze strzelbami na ramionach. Zadrzałem na ich widok, i słuchałem pilnie, co też mówić będą; ale niestety, mówili włosko-góralskiém narzeczem, co mię przekonało, że się jeszcze na włoskiéj ziemi znajduję. Więcto jeszcze nie Szwajcaryja? zapytałem sam siebie z boleścią, i dziękowałem Bogu, skorom ujrzał, że ci dwaj straszliwi, rozdymiwszy drewniane faje, ode mnie oddalać się zaczęli. Wkrótce i mnie rozpacz wygnała z mego legowiska; puściłem się w drogę, a im bardziéj głód dojmował moim wnętrznościom, tém mniéj zważałem dokąd mię nogi niosą. Mniéj się teraz lękałem, poledź od kuli, a niżeli zginąć w pustyni od wściekłego głodu. Jeszcze raz jeść w życiu, to było teraz największém szczęściem u mnie, to było moją niezbędną żądzą! mojém najsłodszém zbawieniem! Użem się miał za zgubionego, użem tego słowa: nadzieja, ani w duszę, ani w serce swoje nie mógł złowić; jakiś rodzaj szaleństwa zaczął owładywać wszystkie pomysły, które mię nabiegały; zacząłem wątpić, że dobrze i do celu idę; uroiłem sobie, że gdzie słońce zaszło, tam jest południe, a przeto błędny mój kierunek, że się nié mam ku Szwajcaryi, i że jeszcze głębiéj w kraj włoski idę. Nie mogąc powziąć żadnéj zdrowéj myśli, zacząłem się oglądać pożądliwie, czylibym też gdzie jakiego nie ujrzał człowieczego pomieszkania, któregom jeszcze tegoż poranku, tak starannie unikał. »Chleba! chleba!« zawołałem boleśnie, »daj mi chleba Boże miłosierdny, a potém zeszléj śmierć na mnie, i niech się stanie Twoja wola święta!«

Tymczasem ścieżka, którą szedłem, wiodła mię tak stromo pod górę, że co dziesięć kroków siadać, i odpoczywać musiałem. Jedyną żyjącą istotą, która mi z daleka na wysokiéj ukazała się skal[illegible], był, jak mi się zdawało,

chłopiec jakiś, pędzący bydlę przed sobą. Tam zapewnie jest gościniec, pomyślałem sobie, nim idąc, przecież dowleczesz się do jakiego domu, inaczéj musisz umrzéć z głodu, albo ze wściekłéj rozpaczy zagrzebiesz się w jakiéj przepaści. Myśl ta, natężyła moje gasnące siły; z krnąbrném zawzięciem wdrapałem się na szczyt owéj skały. Osiadający zmierzch nie zciemnił jeszcze widnokręgu, jeszcze mogłem rozpoznawać przedmioty; ale zamiast chłopca, zamiast mniemanego gościńca, ujrzałem tylko jałową, pustą, mchem lub lodem pokrytą przestrzeń; a w niejakiéj odległości, wznoszący się las jodłowy. Okropny przestrach owionął mię całego, stałem jak uschły pień pośród martwego stepu; ostatnia, mdła iskierka nadziei, zagasła! »Stało się, już po mnie,« pomyślałem, i rzuciwszy, jakby raz ostatni, oczyma, ujrzałem pośród téj przestrzeni jakieś dość obszérne miejsce, w którém sobie zchorzała wyobraźność moja coś, jakby jezioro lub staw przedstawiła; wysyłam po raz drugi w to miejsce oczy moje — i widzę tam, połyskające się fale, i słyszę ich szum wyraźnie. Przez chwil kilka przypatrywałem się téj złudzie moich smysłów, i postanowiłem w głębi owéj wody, szukać sobie lekkiego grobu. Nie wiedząc co czynię, podniosłem, prawie machinalnie, kilka ciężkich kamieni, które w pobliżu wyszukałem, abym pewniejszy był śmierci; ociężony niémi, pełzałem, jak zwierzę. Podróż taka, nie mogła być spieszna, i wnet mię noc ciemna obiegła; jednakże pomimo wysilenie moje, widziałem wyraźnie jak ten staw mniemany, ku któremu się zbliżałem, coraz bardziéj swój kształt zmieniał, jak z niego najprzód coś, nito komin wystérknęło, a potém biorąc postać dachu, chatą się stawiło, a nakoniec płotém i ogrodem się otaczając, przez szczelinę okienicy, światłem mykać zaczęło. »Tu są ludzie!« westchnąłem z wdzięcznością do Boga i podniosłem oczy ku niebu. Nowy duch wstąpił we mnie. Zacząłem, ile mi sił stało, wołać o pomoc, bom z radosnego przelęknienia wszelką już był władzę stracił, i w żaden sposób z ziemi podnieść się nie mogłem; lecz głos mój był tylko chrapliwém wyciem zwierzęcia, które mieszkańców chaty przestraszyć musiało; niebawem albowiem odemkła się okienica, a za nią, stanął jakiś człowiek ze strzelbą w ręku, i w to miejsce mierzył, z kąd mój głos wychodził. Teraz dopiéro zacząłem go, to po niemiecku, to, jak mogłem, po włosku, zaklinać, aby mi w pomoc spieszył. Poznał, żem człowiekiem, i zawołał na mnie kilka słów, których nie rozumiałem. Odszedł od okna, i nie bawiąc długo, wyszedł z chaty z kobiétą, która przed nim lichą latarnię niosła. Byłto starzec o długiéj brodzie, odziany kożuchem. Przystąpił do mnie z wymierzoną strzelbą; lecz widząc mię na ziemi leżącego, postrzegłszy mój łańcuch, przestał się obawiać, i przemówił coś do mnie, czegom znowu nie zrozumiał, chociaż mowa jego, jak się zdawało, niby na pół włoską była. Zaczął nareszcie włoskiém, prawdziwém narzeczem mówić, ale jeszcze gorszém od tego, który w Insbruku pomiędzy czeladzią malarską słyszałem. Mogliśmy przecież już się jako tako zrozumiéć. Prosiłem go o chléb i przytułek, dodając, że nie ma się bynajmniéj czego mnie obawiać, że mu nie ucieknę, i że spokojnie oczekiwać będę, jeżeli mię Francuzom wydać zechce. Gdym to wyrzekł, starzec zmarszczył czoło i zionął przekleństwem. Gdy się ku niewymownéj radości mojéj dowiedziałem, że jest nieprzyjacielem Francuzów, i że się na szwajcarskiéj ziemi znajduję, odżyłem na nowo. Oddałem się względom mego wybawiciela, który mię po długiém namyśleniu się, do swéj chaty zaprowadził, i w kilku minutach moje zranione ramię od bolesnego łańcucha uwolnił. Tym wybawcą moim był ubogi pasterz, który prócz kilku par kóz, stodoły z paszą, i dorosłéj córki, z nim gospodarującéj, nic więcéj nie miał na świecie. Syna, wzięto mu do pułków szwajcarskich, i że go zapewne do Hiszpanii zagnano, mocno się obawiał starzec. Tego gwałtu, który wówczas był bardzo zwyczajny, nie mógł on nigdy cesarzowi Francuzów zapomniéć; opowiadał mi o tém nieustannie, i cieszył się z duszy, żem uszedł rąk moich katów. Jego córka, dziéwka wzrostu olbrzymiego, posilała mię kozim sérem, czarnym chlebem i serwatką; a na zakończenie uczty, nalała mi dość spory kielich najodraźliwszéj wódki; lecz jakimże ona dla mnie była kordyjałem! Byłto przysmaczek, jakiego poźniéj, nawet w najlepszém życiu nie doznałem. — Przez całe ośm dni bawiłem u nich, a ta śniegiem po-

kryta pustynia była dla mnie w mojém nieszczęściu istotnym rajem. Ucieszony nadzieją wrócenia do mojéj ojczyzny, rozpieszczony myślą oglądania drogich mi rodziców, pędziłem chwile swobodne. We dnie rozwodziłem się o powstaniu Tyrolczyków, a staremu iskrzyły się oczy z radości; wieczorem słuchałem go z uwagą, kiedy mi opowiadał o rewolucyi francuzkiéj, o jenerale Bonapartym, tym wielkim człowieku, którego żadnym sposobem z cesarzem Napoleonem za jednę osobę mieć nie chciał. Podług jego mniemania, z któregom go dla mojéj zabawy nie wyprowadzał, waleczny bohatér Bonaparte był od Mameluków w Egipcie w kawałki posiekany, a inny człowiek, jakiś Napoleon zrobił potém we Francyi wielką, niezasłużoną fortunę. Słuchałem cierpliwie tych baśni z tą samą spokojnością, z jaką ich słuchała córka jego, która tylko gminny język romański umiejąc, mało co z rozmowy naszéj rozumiała. Nie wiele też o to dbała, będąc z natury milczącą, smoląc od rana do wieczora faję, jakto wszystkie kobiéty w kraju gryzońskim czynią; krzątała się nieustannie, i miała zawsze coś do czynienia, lub w stajence, lub przy piecu. Byłato zacna, poczciwa dusza, niosła mi w pokarm wszystko, na co się tylko zdobyć mogła jéj uboga chata, któréj całém bogactwem był jeden duży bochen chleba na całą zimę. Widząc takie ubóstwo, nie chciałem być mu ciężarem. Przedsięwziałem w dalszą puścić się drogę, zwłaszcza, że już ku temu i siły miałem. Odkryłem ten zamysł memu gospodarzowi, co go bardzo dotknęło. »Jako? czy wam u nas nie miło?« zapytał mię posępno. »O! nie, bynajmniéj,« odrzekłem ścisnąwszy mu rękę, »ale moja powinność wymaga tego po mnie koniecznie.« Na tę odpowiedź pochwiał głową, i odwiodłszy mię na stronę, rzekł tkliwym głosem: »Źle, źle bardzo robisz, że się tak lekkomyślnie chcesz podać na nowe niebezpieczeństwo; teraz i w Szwajcaryi wolności nie ma, teraz i tu, łatwo Francuzom wydanym być możesz.« Do téj przestrogi dołączył jeszcze i tę uwagę: że w téj odludni rzadko kiedy, i tylko cudem prawie zjawia się jaki człowiek, że tu jestem bezpiecznym, i ode mnie tylko zależy zostać nim na zawsze; tém bardziéj, że on potrzebuje syna,-i że gdy w lecie z kozami w góry pójdzie, w domu pomocnika mu nie staje; córka zaś jego, Cencyja, nie jest wcale od téj ochoty zostać mi żoną, a jeżeli dobrze brodę zapuszczę, nikt mię tu nie pozna, i każdy mię za rodowitego pastérza mieć będzie. Onby mię romańskiego języka i kozy paść nauczył, córka uszyłaby mi ubiór, według krajowego zwyczaju; a z ojcem Jost, kapucynem, który przeszłéj wiosny w jego chacie serwatką z suchot się wyléczył, mogłoby wszystko względem ślubu tak się ułożyć, iżby o metryce lub innych zawadach ani wzmianki nie było. Stałem, jak owa żona Lota, z podziwu osłupiały, i pojąć nie mógłem, jak to obojętne, to zimne stworzenie, ta olbrzymia Cencyja, takim zapałem ku mnie zażedz się mogła; zwłaszcza, żem się jéj bynajmniéj nie zalecał. Starzec, postrzegłszy moje wahanie się, zaczął mi zachwalać życie góralskie, wystawiał mi, jak w lepszéj porze roku, przemyślnemu i zapobiegającemu pastérzowi, nigdy ani na kozach, ani na źwierzynie, ani na wódce nie zabraknie; jak tu i bez pieniędzy wygodnie i po pańsku żyć można; że się o pieniądze nigdy starać nie należy, bo to jest łakotka, nieproszonych gości zwabiająca; ale jednakże — dodał, wstrząsnąwszy głową — jeżelim już się tak bardzo do pieniężnego życia przyzwyczaił, i w tém zarada być może, bo jego Cencyja ma tu nie daleko w miasteczku starą, bogatą ciotkę, po któréj wszystkiego, okwicie nadziedziczy. Témi, lub podobnémi sposoby, chciał mię poczciwy starzec złowić dla siebie, ale gdym się namowami jego przełamać nie dał, zezwolił wreszcie, na com upornie nastawał. Nie odmówił mi swojéj porady, wskazał mi drogę, którą się puścić miałem, a że właśnie był dzień dosyć pogodny i mroźny, tém bardziéj w podróż ochoty nabrałem. Starzec, chociaż nad mojém zaślepieniem ubolewał, zajął się przecież moją wyprawą. Dał mi podarty kożuch, i trepki drewniane, a ja, po serdecznem z nim rozstaniu się, wziąwszy kij w rękę, puściłem się w drogę w sam dzień Sgo Mikołaja 1809 r. Poczciwa Cencyja, gdy ojciec jéj na nogi zachorował, odprowadziła mię aż na gościniec ku Ilantz; opisała mi, jak mogła, w którą mam się udać stronę, i podała mi na pożegnanie spokojnie rękę. Byłato ręka twarda, ale z dobrego serca podana; widziałem łzy w oczach téj oziebłéj

istoty, i nikt się zapewne dziwić nie będzie, żem i ja nie bez łez się z nią rozstawał, tém bardziéj, gdy zważyć zechcę, żeto była córka wybawcy życia mego, która, chociaż niemiłosierdnie faję smoliła, przecież tkliwe serce miała. — Gdym już sam na gościńcu został, zacząłem rozmyśléć o krzywdzie, którą tym poczciwym ludziom wyrządziłem; bo muszę tu wyznać, że ich w nie małém podejrzeniu miałem; najwięcéj mię uderzyła ta serdeczność, z którą mię u siebie koniecznie zatrzymać usiłował; wziąłem ją za obłudną chytrość, obawiałem się, czy mię za jenerała tyrolskich powstańców nie miał, i czy — aby mię za dobrą zapłatę Francuzom wydał — lepszéj tylko sposobności nie oczekiwał. Boże! odpuść mi teraz ten grzéch wielki, i błogosław tym poczciwym ludziom za ich serdeczną dla mnie gościnność! (Ciąg dalszy nastąpi.)

WYIMEK Z DZIEŁA
A. MARLIŃSKIEGO: RYSY KAUKAZU.
I.
Biédny diabeł w Szyrwanie.

Z konia!... Nie podobna po tak stroméj drodze w siodle się utrzymać. Lecz zato jak pyszne widoki za każdym pokazują się krokiem, przy każdym zakręcie skały! Założyć tu tylko kolej żelazną, oświécić gazem te przepaści, te jaskinie rysiów, z których niech się wzbije do góry para kipiących garnków, pozakładać tam domy gościnne, gdzie teraz donośna lufa góralskiego rabusia połyska — a niezawodnie angielski lord i Nabob z ochotą 1000 ft. strl. nato odłoży, ażeby nasycić się témi widokami, których ja teraz za 8 kopiejek miednych na wiorstwę używam.[1]) Las, coraz rzednieje, opuszczam go też bez tęsknoty, nagie jego konary nieprzystroiły się jeszcze w szaty wiosniane, w ożywiającą zieloność. Tylko mech czerwieni się na opokach, jak barwiczka (róż) na licach staréj matrony. W oddali usypia przyroda, obwinięta w śmiertelną koszulę, utkaną z odwiecznych śniegów, usypia snem nieobudzonym, kamiennym.

Mam w sobie ten przymiot, iż jestem bardzo wesół, i wszędzie napotykam materyję do żartu i śmiéchu; lecz dostawszy się na wierzchołek góry, spojrzawszy w koło siebie, prawie strętwiałem z wielkiego zachwycenia; zdało mi się, jakbym nagle stanął okiem w oko przeciw duszy mojéj duszy, i jak gdyby anioł przynosił mi obietnicę boskiéj łaski. Tu, tak tu, kędy człowiek więcéj nieba, niż ziemi ma przed sobą, musi z rąk wypuścić pęzel i rylec, musi zapomnieć błahych, czczych i ubogich dźwięków swojéj mowy.

Droga prowadzi na dół do Szyrwanu, do krainy słońca, najobfitszéj w zboże prowincyi, w całéj kaukazkiéj ziemicy. Przede mną roztoczyło się szmaragdowe morze pagórków, poprzerzynanych czarnémi skał łańcuchami, od północy graniczą ośnieżone góry Lesgistanu, Kasikumaku i Elissu, a od zachodu ściana gór Karabaszów... »Czapar-chanie![2]) gdzie jest *szaitan-kiuprissi*, ów diabli most, o którym okropne wieści chodzą? gdzież on jest? Miałżeby on jak jego budowniczy, rozpaczający nad chytrością i zuchwałością ludzi, schować się przed światem?« — »Jużeśmy ten most dawno minęli,« odpowiedział mój kuryjer; »tymczasem,« przydał gadatliwy czapar, ucieszony, że się wplątałem z nim w rozmowę, »tymczasem, jeżeli pan pozwolisz, opowiém mu, że diabeł w saméj rzeczy między ludźmi nie mógł dłużéj wytrzymać. Z początku bawił on na dworze perskiego pady-szacha. Gdy zaś nie potrafił ogonem swoim takich zygzaków wyrabiać, jak mirzowie na firmanach, i gdy grzbiet jego w 25 rozmaitych kierunkach nie dał się naginać, jak grzbiet każdego dworaka, przeto pewnego razu wyliczono biédakowi porządną bastonadę, i przerzucono go za próg szeigenszaha.[3]) Z zakrwawionym nosem, z niezmiernie potłuczonym grzbietem polazł do miasta. »Wiesz co,« mówił sam do siebie, »zostań bracie kupcem. Mieszczanie są głupie cielęta: widziałem ja to, co z nimi wyrabiają dworacy, i jak słodkiemi słówkami wywabiają im dukaty z worka.« Co pomyślał; zrobił. Sprzedał rogi swoje pewnemu nożownikowi do trzonków, zamiast jeleniego rogu. Ucieszył się niezmiernie, skoro pieniędzy dostał; lecz nie wiedział o tém, że to były cynowe blaszki. Pochwycono go wiec jako fałszérza, wyciągnięto go na *felace*[4]) i wyliczono mu jeszcze

1) Podróżny po drugiéj stronie Kaukazu płaci za konia 2 kopijki w srebrze od wiorstwy, tak na wielkim gościńcu, jak i na drogach pobocznych.

2) Czapar-chan — znaczy pocztowego woźnicę.

3) Krola królów.

4) *Felaka*, deska z dwoma otworami, w którę zamykają nogi winowajcy, piętami do góry.

raz bastonadę. Z wielką trudnością, wyrwawszy się z téj biédy, bez tchu prawie uciekł w pole. Tu dopiéro zaczął rozmyślać nad tém i nad owém. »Pójdę żyć z wieśniakami,« zawołał nakoniec w rozpaczy, są to nieokrzesani, prości ludzie, a takich oszukać nie sztuka!« Wkrótce spotyka idącego włościana. »*Salam aleikum!*« — *Aleikum salam!* — »Gdzieto idziesz, przyjacielu.« — Idę, gdzie droga prowadzi. — »Piękna pogoda!« — O zapewne, kto się chce utopić, temu nie trzeba lepszéj. — Oho, pomyślał diabeł w duchu, bażant sam wpada jastrzębiowi, dusza jego nie ujdzie moim pazurom. Przynajmniéj, póki jeszcze dycha, jego *czaga*[5]) mnie się dostanie. »Zkądże ci przychodzi chętka utopienia się?« zagadnął diabeł. »Nie mając co jeść... chciałbym się przynajmniéj napić do sytu.« — »No, i to nie źle, mój bracie; ale cóż ty nato, gdybym ci chciał dopomódz?« — O! wtenczas zostałbym na wieki twoim niewolnikiem! Stałbyś się moim chanem, najdroższym ojcem, wybawcą; *wallach, billach, tallach*!« — »A zatém słuchaj braciszku, my tak zrobimy: nakupić zboża, nająć pole, w tém twoja rzecz; do mnie zaś należéć będą trzy czwarte części zbioru, a tobie przypadnie część czwarta. Czy przystajesz na to?« Chłopek rozpłakał się z radości: »Nie tylko trzy czwarte części, ale wszystko, co ziemia wyda, wszystko oddam tobie, a sam na korzonkach przestanę!« Stanęła więc zgoda, przybili ręką o rękę. Diabeł zastawił swoję skórę u jednego fakira za dwa *tamany*, i wzięte pieniądze dał chłopu, który nakupił nasienia pietruszki, rzepy, buraków, przyczém najął spory kawał ziemi. Diabeł nie sypiał po całych nocach, i we dnie nie miał spoczynku, tak ciągle nosił wodę, ciągle odpędzał wróble; a chociaż dzwonił zębami na chłodzie, bo skórę swoję zastawił, znosił przecież to wszystko w nadziei obfitego zysku. Nasienie zeszło prześlicznie, i zbiór nad spodziéwanie się poszczęścił. Chłop, człowiek sumienny oddał diabłu wszystko zielone (chwast), a sobie zachował korzenie, i stał się tłustym i bogatym; biédnego zaś diabła z jego zielonym towarem nie puszczono nawet na targ do miasta. »Ach, przeklęte ludzkie plemię!« zawołał pełen gniewu, ocierając sobie łzy ogonem; »zawsze mię podchodzą swoją chytrością, a przecież moja w tém ma być wina; najniesprawiedliwiéj zwalają na mnie wszystko, co się stanie złego na ziemi. Zostańcież więc sami ze sobą; ja wam już nie potrzebny!« To rzekł i rzucił się w głąb ziemi, i nigdy już nie było o nim ani widu, ani słychu. Z jego skóry, która została w zastawie u fakira, kazał tenże futro uszyć; a jak szepcą sąsiedzi, to futro miał poźniéj sprzedać naszemu kademu.«

[5]) Zwierzchnia suknia, kapota.

ŚWIÉŻO ODKRYTY SPOSÓB
dochodzenia temperatury ziemi i morza w znacznéj głębokości, nie mniéj temperatury atmosfery w znacznéj wysokości.

Journal des Debats zawiéra opis następującego nader ważnego fizycznego odkrycia: »Pan Peltier udzielił akademii umiejętności odkrytego przez siebie sposobu dochodzenia temperatury ziemi i morza w znacznych głębokościach, jakoteż i atmosfery w znacznych wysokościach; ta równie dokładna, jak i dogodna metoda nie wymaga, aby osoba, doświadczeniem się zajmująca, oddalała się z swego miejsca, tak, iż je nawet w swoim pokoju czynić może; jest ona nowém przystosowaniem zasady, która przewodniczyła panu Becquerol w doświadczeniach przedsiębranych w celu oznaczenia temperatury jestestw organicznych, za pomocą aparatu thermo-elektrycznego. Gdy dwa druty, każdy z innego metalu, są z sobą zlutowane, tak aby zamknięty utworzyły obłąk, wtedy skoro jedno ze zlutowań zostanie cokolwiek więcéj od drugiego ogrzane, nastąpi w obłęku przepływ elektryczności, któréj natężenie jest w stosunku różnicy temperatury obu drutów; za przyłożeniem więc do tego obłąku w którymkolwiek punkcie elektromiérza (narzędzia wskazującego natężenie płynu elektrycznego), dójdzie się stosunku zachodzącego pomiędzy temperaturą tych dwóch punktów, w których druty są z sobą zlutowane. Pan Peltier używa obłęku metalowego, złożonego z druta miedzianego i żelaznego, i z dwóch punktów, w których te druty po 42 metrów długie*), są z sobą zlutowane, jeden spuszcza w głąb studni, drugi zaś zanurza w naczynie z wodą, w jego pokoju będące. Przy obłąku umieszczony jest galwanomiérz. Widoczna tedy, że jeźli temperatura studni różni się od temperatury wody w naczyniu będącéj, wtedy w drutach obudzony zostanie płyn elektryczny,

*) Długości téj drutów potrzebował pan Peltier do swojego doświadczenia — ale naturalna, że długość ta jest dowolną, czyli raczéj stosować ją trzeba do głębokości miejsca, którego temperatury się dochodzi. (Przyp. Red.)

którego natężenie oznaczy skazówka galwanomiérza. Gdy zaś temperaturę wody w naczyniu będziemy następnie podwyższali lub zniżali, dójdziemy punktu, w którym druty nie okażą się elektrycznémi, a skazówka galwanomiérza stanie na zero — co będzie oznaką, że temperatura wody w naczyniu jest ta sama co i w studni; zanurzony tedy w naczynie z wodą termometr, wskaże dokładnie temperaturę wody w studni. — Łatwo się domyśléć jak liczne i ważne być mogą przystosowania téj dowcipnéj metody; wyniosłszy za pomocą balonu drut metalowy w powietrze, można, nie potrzebując opuszczać obranego na ziemi stanowiska, oznaczyć temperaturę atmosfery w znacznych wysokościach, toż samo rozumiéć się ma o głębiach morskich, kopalniach i t. d. Pan Peltier uważał także zmianę, jakiéj w skutek różnéj temperatury ulega elektryczność, w swoim między ziemią i atmosferą przepływie.

ANEGDOTY O Ś. P. FRANCISZKU I.

W r. 1833, podczas gdy Cesarz Franciszek bawił w Pradze, dawane przez niego posłuchania dla ludzi z klasy pospólstwa szły tymże trybem co i w Wiedniu. Dnia jednego stanęła przed nim jakaś stara kobiéta, cała we łzach. Łkania mowę jéj odejmowały, ale Cesarz do tyla ją ośmielił, iż dowiedział się w reszcie o przyczynie jéj smutku. Byłato wędrowna artystka: lira składała cały jéj majątek; ale lira ta była tak bardzo uszkodzoną, iż trzeba było pięciu złr. na jéj naprawę! »Pięć złotych!« powtarzała staruszka; »suma ta jest zbyt wielka, a bez mojéj liry wkrótce mi przyjdzie umrzeć z głodu!« — »Bądź dobréj myśli!« rzekł Cesarz, dając jéj pieniądze. Staruszka podziękowała, ale nie doszedłszy jeszcze do drzwi, policzyła pieniądze i wróciła się, mówiąc, że musi to być omyłka. »Jest tu dziesięć złot. reń., Najj. Panie,« rzekła, »a mnie tylko pięć potrzeba; weź więc resztę!« — »Zatrzymaj ją sobie,« odpowiedział monarcha, lira twoja znowu się może popsuć, a mnie może już nie będzie dla jéj naprawienia.«

W kilka dni poźniéj stawił się stary żołniérz, oświadczył Cesarzowi, iż pensyja 4 krajcarów na dzień zaledwie wystarcza na zachowanie go od głodu, i że, jeźli się to J. C. M. podoba, chciałby raz jeszcze przed śmiercią dobrze podjeść. Proźba nadto była skromna, ażeby jéj odmówić. Cesarz dostał z kieszeni 20 krajcarów i dał je staremu żołniérzowi. Ten, zdziwiony lubo nie zmartwiony tym darem, podziękował i wyszedł. Ale na progu wstrzymał go głos Cesarza. »A cóż staruszku? czy dosyć ci na tem?« — »Człowiek ubogi jak ja, na wszystkiém przestaje,« odpowiedział żołniérz. »Jeźliś zadowolniony, będziesz więc otrzymywał tę kwotę codziennie, do śmierci, licząc od dzisiaj.«

W r. 1815 gdy Cesarz Franciszek poraz piérwszy zwiédził Tyrol, dobroć jego zjednała mu powszechną miłość. Nazajutrz po przybyciu do Inspruku, spędził on cały dzień na przyjmowaniu wszystkich, którzy go widzieć chcieli. Nakoniec o 10téj godz. znużony i zupełnie z sił opadły, udał się do swoich pokojów, dla posilenia się wieczerzą i spoczynkiem, kiedy mu oznajmiono, iż jeszcze trzech Tyrolczyków przyszło i zasiadło w przedpokoju. Na to Cesarz, zapominając o wieczerzy, rzekł: »Doprawdy? jeźli oni tam siedzą, chcąc mnie czekać, toć i ja mogę wstać dla zobaczenia się z nimi.«

Jednego razu przedstawiono mu kalligrafa, który z nadzwyczajną sztuką odrysował dwugłowego austryjackiego orła, z samych wykrętasów. Każde orle pióro nosiło nadto godło, napisane charakterem tak drobnym, iż zaledwie gołém okiem dawało się wyczytać. Cesarz cieszył się i dziwił temu arcydziełu cierpliwości; ale chciał też wiedzieć treść napisów. Byłyto same szumne pochwały jego cnót i rządów, i w miarę tego, jak kaligraf je czytał, Cesarz coraz większą okazywał oziębłość. Wreszcie, nie chcąc dłużéj słuchać, dał mu znaczny podarunek, mówiąc: »Weź to i idź z Bogiem. Byłbym ci dał więcéj, gdybyś nie był pochlebcą.«

Jeden młody człowiek znakomitego rodu śmiał udać się do samego Cesarza z proźbą o miejsce, które mu odmówiono. Twierdził, iż długi czas strawił na naukach, i że przezto najwięcéj uzdolnionym jest do dyplomatycznego zawodu, iż rozumié i mówi prawie wszystkiemi nowożytnémi i umarłémi językami. Dodał, że jedynie nienawiść i osobiste widoki tych, do których się udawał były przyczyną odmówienia. Cesarz, nie długo myśląc, począł go sam egzaminować, zadając mu rozmaite pytania, najprzód w języku łacińskim, potém we włoskim, nakoniec we francuzkim. Ale młody człowiek zupełnie oniemiał. »Być może,« rzekł mu Cesarz po kilku chwilach milczenia, »żeś się zmieszał i nié masz teraz potrzebnéj rozwagi. Ale namyśl się nieco i przełóż mi swą proźbę w jakimkolwiek ze trzech języków, którémi do ciebie mówiłem.« Tu Cesarz udał się do innych obecnych osób, podających proźby i nie prędzéj wrócił do niego, aż po długiém krążeniu do koła sali. Ale młody człowiek nie mógł się zdobyć ani na jedno słowo. »To już za wiele!« rzekł cesarz. »Nie tylkoś się chlubił z mnóstwem rzeczy, których nie umiesz, ale oskarżałeś ludzi, którzy dobrze się na tobie poznali. Idźże sobie, i strzeż się, żebym cię drugi raz nie spotkał.«

Podczas pobytu Cesarza Franciszka w kąpielach w Baden spotkał dnia jednego na drodze ciało, które na cmentarz wieziono. Zmarły tak był od wszystkich opuszczonym, iż nie było nikogo, coby go odprowadzał. Okoliczność ta czyniła pogrzeb prawdziwie smutnym. Cesarz mocno wzruszony został. »Jeźli,« rzekł, »zmarły nie miał ani jednego przyjaciela, coby mu oddał ostatnią posługę, tym samym na nas obowiązek ten spada.« To rzekłszy udał się za trunną; orszak cesarski uszykował się za swoim monarchą, i mnóstwo ciekawych, tym widokiem znęconych, łączyło się do cugu, który stał się przezto niezmiernie licznym. Takim sposobem człowiek, co niczém był za życia, został po zgonie przedmiotém powszechnego spółczucia. Byłto widok nader rozrzewniający, szczególniéj, kiedy stanąwszy nad świéżo wykopaną mogiłą, Cesarz zdjął kapelusz i zaczął się modlić. (Tyg. Petr.)

— Ze Lwowa. —

W Lipsku wyszło z druku dzieło w niemieckim języku, pod tytułem: »Gorzelnictwo parowe przez Adama Kasperowskiego.« Dzieło to jest na wzór dzieła tegoż autora po polsku wydanego w roku 1830. Autor umieścił także spór techniczny, wiedziony po różnych pismach niemieckich ciągle od roku 1830 z panem Gallem, wydawcą dzieł gorzelnianych w Prusiech.

W Stanisławowie, w drukarni J. Pawła Pillera, wyszły: »Tkliwe uczucia w dzień urodzin Najj. Cesarza i Króla Ferdynanda I. dnia 19. kwietnia 1835; przez J. Wesołowskiego, prof. skoł gimn. stanisławowskich.«

Zakłady naukowe w Galicyi. W Galicyi znajduje się 1 uniwersytet we Lwowie, 3 filozoficzne i tylež teologicznych wydziałów, jakoto: w Przemyślu Tarnopolu i Czerniowcach, w tém ostatniém znajduje się jeszcze wydział teologiczny dla duchownych greckich-dysunitów; przytém na rok przyszły ma być zaprowadzony w Tarnowie czwarty w Galicyi filozoficzny i teologiczny wydział; we Lwowie istnieje także wydział filozoficzny i teologiczny z 6 profesorami i z 2 wicedyrektorami dla galicyjskich zakonników, 1 stanowa

akademija, 13 gymnazyjów, w których w r. 1833 uczyło się 3,419 młodzieży, 3 seminaryja ob. ł. (czwarte dotąd dla pastoralistów w Tarnowie), 1 obr. gr. i 1 greckonieunickie seminaryjum, 2 szkoły realne (we Lwowie i Brodach), 2 położnicze, 31 głównych, 24 dla dziewcząt, 290 trywijalnych i 1,203 parafijalnych szkółek.

W Wiedniu w sali c. k. ogrodu *(Augarten)* wystawiono obraz haftowany, 13 stóp wysoki, a 20 stóp széroki, który zawiéra 24 naturalnéj wielkości figur. Lubo rysunek jest niepoprawny, a fizyjonomije bez żadnego wyrazu, jednakże przedni dobór kolorów stawia go na równi z niederlandzkiémi kobiercami. Podług wyrachowania pracującego nad tym obrazem, ma się ten składać z 2,400,000 krzyżowych ściegów!

Katarzyna II. cesarzowa rossyjska, poleciła Alexemu Orłów, bawiącemu we Włoszech, ażeby kazał odmalować cztery obrazy, przedstawiające główne sceny z wojny rossyjskiéj w Morei, a między innémi pożar floty tureckiéj pod Czesme. Orłów użył do tego dzieła Hakerta, dość sławnego podówczas malarza krajobrazów we Włoszech. Gdy Hakert wyznał, iż nie wié jakim sposobem odmalować okręt wysadzony w powietrze, Orłow kazał wysadzić najpiękniéjszy okręt ze swojéj floty, z wielkiém niebezpieczeństwem wszystkich statków znajdujących się w zatoce Livorno. Cztery te obrazy umieszczone są w sali posłuchalnéj w Peterhowie i do rzędu miernych płodów należą.

Karta jeograficzna gminna w Rossyi. Dr. Dahl, którego powieści, w gminnym języku i tonie pisane, znakomite w nowéj literaturze rossyjskiéj zajęły miejsce, ogłosił w Dorpackich Rocznikach *(Dorpat. Jahrb.* 1835 N. 1.) ciekawą wiadomość o literaturze gminnéj w Rossyi i o rysunkach krążących między pospólstwem, które znane są pod nazwaniem *łubocznych;* były albowiem odbijane z form na korze drewnianéj wyrzynanych. Rysownikami bywają chłopi; są nawet całe wsi z tego kunsztu utrzymujące się. Z pomiędzy takich, najciekawszą jest karta jeograficzna; należy do dawnych pomników, i jak sławiański napis powiada, była wytłumaczona z rzymskiego. Cała kula ziemska wyobrażona jest na kołowéj powierzchni. Cztery części świata noszą nazwanie czterech strón świata i tak np: czwartą częścią świata jest Zachód, nazwany nowa Ameryka, nie dawno odkryty przez hiszpańskich Niemców (t. j: Niemowców, jak się pospolicie zowią u gminu sławiańskiego wszyscy cudzoziemcy, a zwłaszcza Niemcy), jestto wielka wyspa większa od innych, ale ludzie nié mają ani religii, ani pisma, żyją po lat 500 i więcéj, karmią się pieczoną rybą i muszkatołowémi gałkami. Dalsze napisy na téj mapie są takie: »Ta wyspa jest pusta, mieszkają na niéj smoki, z białą twarzą, z ludzkim tułowem, dolną część ciała mają jak węże skrzydlate: zowią się bazyliszki. Na téj wyspie są ludożercy, których zwiedził Sty Andrzej apostoł. — Wyspa Malta, gdzie wiele nauczycieli i filozofów, ziół i jarzyn. Wyspa Minorka, gdzie mieszkają filozofowie.« Moskwa ze swemi murami i wieżami większa jest niż cała Ameryka i Azyja. Petersburg przez daleko późniejszego rytownika przydany, nie musiał być u niego w wielkiéj łasce, oznacza go bowiem tylko siedem karłowatych sosen i brzóz. Wydawca »Telegrafa Moskiewskiego,« Polewoj, piewsze téj karty wydanie naznaczył w 18tym wieku.

W Berlinie zdarzył się następujący wypadek: Pewien człowiek ze stanu średniego, który się długo grubą ręczną pracą trudnił, wpadł nagle na myśl prorokowania, i w tym nowym zawodzie nie do uwierzenia prawie był szczęśliwym, tak że drzwi jego przez dzień cały jak w oblężeniu były. Między innémi przyszła do niego dziewczyna, zostająca w usługach u pewnéj damy. Spojrzał jéj na rękę i rzekł: »Skończysz na rusztowaniu!« Pani jéj, postrzegłszy dziewczynę mocno zamyśloną, nalegała na nią, aby przyczynę smutku wyznała; dowiedziawszy się zaś o wszystkiém, kazała dziewczynie przebrać się za damę znakomitą i w powozie do wróżbita zajechać. Ten spojrzał jéj znowu na rękę i powtórzył dawniéjszą wyrocznię. Dziewczyna dręczona zgryzotą sumienia, wyznała, że już po dwakroć dzieciobójczynią była. Uwięziono ją wraz z prorokiem, domyślano się albowiem, że tenże bliższą miał wiadomość o popełnianéj zbrodni.

Kuglarze z Madras słyną po całym świecie; sztuki kuglarza Ramo-Samee żyją w świeżéj pamięci mieszkańców Londynu; w r. 1828 wzbudzał podziwienie pewien człowiek, który niczém nie zdając się być utrzymywany, unosił się na powietrzu, podobnie jak ów automat, grający w szachy, który przed laty całéj Europie głowę zawracał. Madrascy kuglarze są tak gibcy, smukli i zwrotni, że więcéj podobni do węźów niż do ludzi. Fraszką jest u nich postawić drabinę na ziemi, wedrzéć się po szczeblach na sam jéj wierzchołek, tymże sposobem spuścić się na dół, utrzymując ciągle o nic nieopartą drabinę, w prostopadłym kierunku. Zwinni kuglarze skaczą przez ogromne słonie, a nawet przez pięć obokstojących wielbłądów; ich zaś taniec na linie przechodzi wszelkie wyobrażenie. Połykanie mieczów jest u nich drobnostką, niewyćwiczeni nawet z łatwością to wykonają. Często zobaczysz kobietę — a kobiety nie są niższe od mężczyzn w zręczności — jak koniec miecza w czarną umaczawszy farbę, rękojeść wbija mocno w ziemię, a kilka razy wykręciwszy się w powietrzu, część téj farby zdejmuje z miecza powieką. Zobaczysz znowu miecz i cztery sztylety w ziemię zatknięte, ostrzem i końcami do góry, i tak ustawione blizko siebie, że ledwie znajdzie się miejsce na ludzką głowę; potém zasadza kuglarz szablę w ziemię, siada za nią, jednym skokiem przesadza ją, skacze między sztyletami, a poprzeskakawszy je, wszystkie sztylety i szable już są z ziemi wyjęte. Chodzić po ostrzu gołéj szabli, należy u nich do łatwéj igraszki. Godna podziwu jest chibkość i lekkość, z jaką po kwiatkach chodzą, nie zginając nawet ich łodygi; albo rozprzestrzeniają lekko cienkie lniane prześcieradło, które 4 osób w rękach trzyma, po tém prześcieradle przemyka kuglarz, ani poruszywszy, ani zmarszczywszy tegoż, ani trzymającym uczuć tego nie dawszy. Kiedy na pozór najcieńsze powieką podnoszą ciężary, jestto widok okropny. Te dziwne i rzadkie sztuki kuglarskie polegają po największéj części wprawdzie na złudzie, jednak dotychczas tajemnica téj złudy nie jest odkrytą.

Mody. W Paryżu na przedstawieniu na dochód panny Taglioni widziano mnóstwo najmodniejszych i najokazalszych strojów. Najnowsze są chustki *à la paysanne* z haftowanego muszlinu, koronkami obszyte; co na kolorowych sukniach wyborne sprawia wrażenie. Niektóre suknie były z wybijanéj organdyny lub muszlinu, podszyte różową, palijową lub lilijową kitajką, przytém bardzo wyborny strój na głowę z piór białych i drogich kamieni.

SZARADA.

Gdy cię gniecie z piérwszym trzecie,
Nie szukaj otuchy w świecie;
Niechaj raczéj z drugiém trzecie
Uczyni brat z bratem,
I w tym poczecie,
Zwyczajnym wiwatem,
Puhar niech krąży do koła:
A znikną troski, wróci myśl wesoła,
I serce lekszę i swobodna głowa;
A moja cała — gotowa.

J. B.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.